

B O C Z N Y

T O R - 2 2 9

n a ż y c z e n i e

*Albo to: igielki w oku jasnym nieba i w moim oku — zamykającym się odruchowo, gdy wpada pokruszony blond włos. Niepotrzebne, niezrozumiałe, przyjemne przypomnienie. Dni radosne. Bez ludzi, innych, tylko my, bez radykalnych zdań udających odpowiedź. Przecież o nic teraz nie pytam, chciałbym po prostu (wiem, troska zbyteczna) nie pozostawiać w ciszy wątpliwości, w słodkiej niepamięci.*

*Albo to: mgła, mgła przenajświętsza, wyobrażona na różne sposoby. Przez nią tunel po przejściu człowieka. Jak w Wenecji Brodskiego. Gęsta mgła, kuszący chłodem puch, który przesłania wszystkie pęknięcia i niedopracowania krajobrazu.*



Mgły przerobione na marzenie. Zdania wzięte na jednym głębokim oddechu. Coś gdzieś ujrzone, może złudne, nieważne, ważne. Coś komuś i sobie powiedziane, zanotowane, pewnie wcześniej przeczytane, usłyszane, zapomniane. Archeologia świadomości — co za bzdurne zajęcie! Idealne w leniwe przedpołudnie. Wciągające w głąb, gdy na powierzchni flauta.

Można pisać tak sobie? Tak po klawiszach wystukiwać nie do taktu? Żeby co? Uruchomić senność, zmęczenie — albo podziałać na nerw i wyjść z siebie w słońce? Żeby to jakoś sensownie wytłumaczyć, trzeba by sensownie zacząć i wytrwać w tym do końca. Jest póki co potencjalnie, mówiąc eufemistycznie, jak nauczyciele o uczniu: zdolny, gdyby tylko więcej się przyłożył!



To się nie uda na życzenie: polubić wszystkich i wszystko, i jeszcze siebie. Dodawanie, odejmowanie, mnożenie, dzielenie — proste działania matematyczne. Wstyd zostawić błąd w zeszycie.

„W naszym świecie, w którym każdego dnia pojawia się coraz więcej coraz bardziej podobnych do siebie twarzy, człowiek nie ma łatwego zadania, jeśli chce potwierdzić przed sobą oryginalność swego ja i skutecznie przekonać siebie o jego niepowtarzalności. Są dwie metody uprawiania niepowtarzalności ja: metoda *dodawania* i metoda *odejmowania*.

Agnes odejmuje od swego ja to wszystko, co jest zewnętrzne i zapożyczone, aby w ten sposób zbliżyć się do swej czystej istoty



(ryzykując, że w wyniku kolejnego odejmowania otrzyma zero). Metoda Laury jest dokładnie odwrotna: aby uwidocznić ją, ułatwić jego uchwycenie, aby zwiększyć jego objętość, nieustannie dodaje do niego nowe przymioty, z którymi próbuje się utożsamić (ryzykując, że pod sumą przymiotów utraci istotę ja)” (M. Kundera, *Nieśmiertelność*, przeł. M. Bieńczyk).

Podążamy wąską dróżką po dnie szerokiego wąwozu (czyli szczęśliwie pod przepaścią, nawet promienie słońca wpadają pod nogi), nie jest źle. Do przerobienia z wielu tak zwanych ważnych tematów jest właściwie jeden. Też chciałbym wiedzieć: który?

Serce i rozum to przereklamowana opozycja. Tak mi się pomyślało.





Dziś krążę myślami, dzisiaj bez oświecenia  
zostawiam na jutro. Dziwnie, wcale nie jest  
mi smutno. Mimo że po minie nie poznasz.

„POLONIUSZ:      Co czytasz, książę?  
HAMLET:            Słowa, słowa, słowa.  
POLONIUSZ:        A o co chodzi?  
HAMLET:            Komu?”

Świat jest szalony. Światem rządzi mocna  
triada: przemoc, seks, dziwactwa ludzkie.  
Poezje zółkną na papierze, dzieci rosna,  
starcy pochylają się ku ziemi i przygniata  
ich nieskończoność gwiazd. A wszystko na  
małej kulce w aksamitnym nieludzko zim-  
nym mroku. Strach się bać. Na szczęście  
jest fundusz promocji owoców i warzyw.  
Reklamy zbawią świat, a choćby przesłonią.  
*Świta. Świta mi, że świata nie zmienię.*



Rozkojarzenie. W takim stanie trudniej wstać i ustawić się w kolejce po odbiór nagrody. Niecierpliwość dość miła w obejściu, o ile nie ma na kim krzyżować rąk. Słowa same niosą donikąd. Uczucie niekonieczności jest w tym najfajniejsze. Ale układanka robi się niepokojąco znajoma.

To zgubny wpływ wiosny. Znów jak pierwsze wejście w sosny: *Zapach ostry, nowy węch. Droga odwrotu znana, ale cóż z tego? Pachnie mocno. Czy ja wiem: czym? Przecież to we śnie. Przewspaniale przespanym.*

W tym śnie jestem ani dobry, ani zły, bo ten sen nie jest dobry czy zły. Nie da się go wręcz opisać, słowami opowiedzieć. Nie jestem w nim ani młody, ani stary, na czas i po czasie. Ten sen ma dramaturgię, której się



nie odczuwa zmysłami, bo to sen jest zmysłem. Budzę się. Potem gdzieś idę i zaraz wracam. Dociera do mnie, że sen się nie skończył. Trwa. To w nim się zbudziłem. I wiem w tym śnie, że wcześniej spałem. Gdy znów się budzę, tym razem pewny, że naprawdę, otwieram oczy, idę gdzieś. I tu niespodzianka, którą odkryję później: nadal dzieje się to w jednym, nieprzerwanym śnie. Cały czas, mimo dwóch pobudek, obu zresztą łagodnych. Gdy wreszcie nieodwołalnie otwieram oczy na dzień dobry, okazuje się, że opuszczony przyjaźnie sen czyni mnie bardzo wypoczętym, sklejjąc samopoczucie miodem ulgi. Ta ulga pochodzi ze snu. Dawno nie czułem się lepiej, choć szczegóły snu umykają opisowi. A może właśnie dlatego?



Tak to jest: są dni lepsze, są dni gorsze. Nie tak jak ze słowami, których zawsze za dużo i o wiele więcej tych mniej potrzebnych.

*Nic dwa razy się nie zdarza? Zajrzyj do kalendarza. Wygasty poranek. Zwilgłe igliwie. Mchu miękki gruz. Im dalej w las... Czas nas dogonił.*

*Szybko, szybciej — zapomniałem. Napiszę to inaczej. Inaczej to samo. W dali dal nadal daleka. To miałem na końcu języka.*

Ale dziś spokojny dzień. Nie rymuje się z poprzednim. Za parę godzin będzie rozdziałem zamkniętym. I choć chciałoby się więcej, noc nie przeraża. Jadę sam w przedziale, mogę więc rozmawiać z kim chcę, o wszystkim. *Prawda jest możliwością.* „Jesteś tak chory, jak twoje sekrety” (W. Osiatyński).  
Uczę się siebie przez powtarzanie?





Niepoprawnie zadane pytania mają tajemniczą moc. Bo czy może być: *inniej*? Jakie to szczęście nie wiedzieć, jakie nieszczęście zachować w pamięci, odnaleźć w kartonie po butach na dnie piwnicy.

*Powietrze trze po wierzchu. Co wiedzą chmury o ziemi, póki nie są deszczem? Co milczy wyplukany w potoku kamień?*

„Dalej. Być ruchem w ruchu” (E. Stachura).  
*Miasto na plecach. Moje oko to dziupla. Chyba chybia. Pewność oślepia niewiedzą. Pisałem, obiecywałem: Bez słów cię powitam.*

Kłamałem, ale nieraz nawet ładnie się składało: *Za tobą mgła jest deszczem, drzewo rośnie liściem w nicość. Z cudzych słów było moje: „Minuty mijają nas / i czas pełźnie w błękiacie naszych oczu”* (J. Przyboś).



A gdyby uznać, że to prawda? Słowa można podmieniać, w kalendarzu numerowane ramki z parami imion. *Święta są od święta, czerwone niedziele stale z brzegu.* O czym to miałem, czego tu jeszcze nie skreśliłem (licząc w obu znaczeniach)?

Najgłupsza rzecz, jaką napisałem? Trudny wybór. Przykład pierwszy z brzegu: *Słowo to plama na ciszy. Fałsz słyszysz? Biec przez może nad morze, brzegiem kartki. Przesypywać piasek plaż skojarzeń, przepisywać na nowo zmyte ślady stóp.* Sennik nie tłumaczy, co oznacza: *origami robić z fal.* Wydmy przesuwiają się.

„Wynieś się, wynieś na makulaturę!”. Niewykorzystane okazje mszczą się, jak mówił komentator meczów. Po co wklejałem do zeszytu, nie pamiętam. Domyślam się, skąd przyszła przeszłość i cała ta głupia mądrość.



Kompozycja rwie się, chwieją się proporcje, nie sposób uporządkować przed wyrzuceniem. Sortowanie nieudane.

Taka nieskładna układanka: „Przez cele życie staje się zupełnie bezsensowne i *nieprawdziwe*. Czy pracujemy, *aby* się wykarmić? Czy karmimy się, *aby* żyć? Czy żyjemy, *aby* pozostawić po sobie dzieci (albo dzieła)? One tak samo — itd., wreszcie salto mortale. Raczej jest w pracowaniu, w jedzeniu itd. zawsze obecny również *koniec*: celem łączymy wzajemnie dwa końce. Jem, *aby* jeść *i* *aby* żyć, tzn. *aby* znów jeść. / Działanie chce, *by* je powtarzać, bo jest przyjemne. Wszystko przyjemne jest samo w sobie końcem. Czy rośliny istnieją, *aby* je spożywały zwierzęta? Nie ma *żadnego celu*. *Łudzimy* się. — Maczam pióro, *aby* — — —” (F. Nietzsche).



„Skromnie przyjmować, spokojnie utracić”

(Marek Aureliusz).

„Coś mi powiedzieli / wieczór i góra. / Już  
nie wiem co” (J. L. Borges). „Poezja wymarła, /  
bogactwa w grobowcach. / Nie stawiaj zni-  
czy, organizuj / ekspedycje w głąb. / Kiedyś  
szło / teraz siedzi w tobie” (M. Pustelnik).

„Dajmy spokój całości — bądźmy dobrzy”  
(D. Diderot). Ileż przypadkowych odkryć, gdy  
się szuka, aby zgubić.

Wiosenne porządki. Tyle kurzu we mnie.

*Albo takie niewytłumaczalne coś: Tym, co  
przekracza rozum i co nadal wierne, co ponad-  
zmysłowe i konieczne, zmysłowe i przypadkowe,  
piękne zarówno w morzu, jak i w górach — jest  
siła ciężenia [ku] miłości.*





*Światło milknącego żartu. Wieczór wypełza za szpar. Ciepły pyszczek wosku garnie się do rąk. I mówisz w tym jednym jedynym momencie: „To ja szłam po płomieniu, całkiem inna”. W tym jednym jedynym momencie, kiedy nie słuchałem.*

*Na kolację tłuczona szyba. Susza słów. Świat oszalał, nie my jedni. I dopisek, chyba po to, żeby dodać smaku udreće: „nasze myślenie powinno mocno pachnieć, jak łany żyta w letnie wieczory” (F. Nietzsche).*

*Mieć lekkość niestabilnego znoszenia z kursu. „Niežnośna lekkość bytu”, „Życie jest gdzie indziej” — same tytuły w zamian za wiele opowieści. W świecie intuicji nie ma prohibicji.*

*Dobranoc, kołderką okryj stopy. Bywają lata chłodniejsze. Później się nie pamięta szczegółów. Ile razy padało w zeszłym kwartale?*



„Tak to świadomość czyni nas tchórzami /  
I naturalne rumieńce porywu / Namysł roz-  
cieńcza w chorobliwą bladość, / A naszym  
ważkim i szczytnym zamiarom / Refleksja  
płacze szyki, zanim któryś / Zdąży przero-  
dzić się w czyn” (W. Shakespeare, *Hamlet*, przekład  
S. Barańczak).

„Żadna literatura świata nigdy nie odpo-  
wiedziała na pytanie, jakie stawiała, i nawet  
to właśnie zawieszenie tworzyło z niej lite-  
raturę: literatura to ta wątła mowa, która  
ludziom pozostaje do dyspozycji między  
gwałtownością pytania a milczeniem od-  
powiedzi: religijna i krytyczna, kiedy pyta,  
jest ona zarazem areligijna i zachowawcza,  
kiedy nie odpowiada: jako że sama jest py-  
taniem, stulecia przez nią pytają o pytania,  
nie zaś o odpowiedź” (R. Barthes).



*Skrawki. Jasność to najciemniejsza komnata  
snu. Musimy przecześć czarny powidok. Speł-  
niając brak prośby stanąć w lustrze. Skurcz re-  
dukuje twarz. Cóż począć? Mydlany uśmiech.  
Woda. Ogień. Cisza. Krzyk. Morze. Góry. Piach.  
Trawa. Słońce. Ziemia. Kamień. Drzewo. Ty. Ja.  
Ostateczne definicje.*

*Po co słowa? Oddalają nas. Popychają ku sobie.  
Właściwie nie muszę się tłumaczyć. Piszę, bo jest  
mi zimno, pisanie rozgrzewa, od palców w górę.  
Na razie słowa pojawiają się znikąd, w zdaniach  
przypominają o czymś dalekim, co był najpierw-  
sze i wstydliwie pomijane w podsumowaniach.  
Powtarzam się, wiem, wiem. Cóż z tego? Wstanę  
i przejdę nad tobą, nie dotykając poręczy, jakbym  
przewracał się na drugi bok. Jest maj, kończy się,  
następny za rok. Skąd pewność, że przydryfuję do  
krtani wiadra, w którym hodujesz rdzę?*



*Pojutrze jutro... to będzie: wczoraj. To nic. To stare dzieje. Igiełki sukcesu w stogu refleksji. Nic się (nie) dzieje bez przyczyny. Właśnie znalazłem wyłącznik: „PSTRYK! [...] Ja nie przywiązuję wagi do zbiegów okoliczności. Jest w nich coś niesamowitego: przez chwilę odczuwa się, co znaczy żyć w uporządkowanym wszechświecie, kierowanym przez Boga, który zagląda człowiekowi przez ramię i skwapliwie a natrętnie odsłania fragmenty kosmicznego planu. Wolę wyobrazić sobie, że wszystko jest chaosem, zarówno chwilowo, jak i po wszystkie czasy zwariowanym, i toczy się, dokąd chce; wolę czuć pewność ludzkiej ignorancji, brutalności i szaleństwa. «Cokolwiek jeszcze się zdarzy — pisał Flaubert, kiedy wybuchła wojna francusko-pruska — pozostanie*





staniemy głupcami». Czy chodzi tu tylko o chępliwy pesymizm? Czy też o konieczność porzucenia wszelkich oczekiwań, jeżeli cokolwiek ma być we właściwy sposób pomyślane zrobione albo napisane? [...] Sposobem uprawomocnienia trafu jest oczywiście nazwanie go ironią. Tak postępują ludzie sprytni. [...]” (J. Barnes, *Papuga Flauberta*, przeł. A. Szymanowski, W-wa 1992, s. 92-94).

O, jeszcze jeden cios: „Więc wpatruję się w wystawę / i czuję / jak mi cieknie / ślina i sperma” (R. Wojacek, *Mit rodzinny*). I na tej samej kartce: *Do zobaczenia w lepszych czasach!*

„Wieczór. Dolina Kościeliska. Ja, zmęczony, idę samotnie... [...] idę i znów nawiedza mnie to dręczące samopoczucie, że tracę czas, że nie żyję, że jestem zmarnowany,



góry nade mną gniotą mniej od tych myśli przeklętych — aż tu przede mną schronisko, ładny zakopiański domek, z którego wynurza się ładne dziewczę. Kelnerka. Proszę o coś do jedzenia, kelnerka przysiada się, częstuję ją piwem, nikogo nie ma, cisza górską, świeżość Gór, świeżość tej dziewczyny, ja wywalam przed nią niewiele myśląc wszystkie moje udręki, dotąd przed światem tajone [...] wysłuchiwała mnie z uwagą. — Głupstwa! — zawyrokowała. — Pewnie, że masz łatwe życie... ale dla ciebie twoje łatwe życie jest trudniejsze niż dla innego jego życie ciężkie, więc na jedno wychodzi!”  
(W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*).

„Bo ten tylko dobrze zaryczeć potrafi, kto ryczeć dobrze i dokładnie umie” (Witkacy — Potwór z Düsseldorfu, *Melancholia rzeczy dokonanych*).



Dopada mnie, goniąc z oddali, naiwne (nawet we wspomnieniu) stare motto z zeszytu do polskiego. Już nieważne, więc przytoczę inny fragment; nie ostatnie wersy, lecz ze środka: „Cząstka pracy wykonana / i znów cząstka, i znów cząstka, / i znów noc, i znów od rana / do cząstki dodana cząstka” (K. I. Gałczyński, *Pieśni*).

Jak zakończyć to, co nie ma początku? Przecież wstępy pisze się ostatnie, te najlepsze ponoć tak powstały. Czy już za grosz ambicji nie ma przy mnie, by się przyznać, jak jest? Uciekam raczej (rakiem?) w zasłonę dymną: *Czy ze mną jest coś nie tak? Czy ze mną jest coś nie nie? Ze mną jest nic.* — I nic za mną? Jedno niezmiennie: nie ufam prognozom.

/ mz





BT 229 / pismo na życzenie / Poznań, 28.05.2017  
zdjęcia i montaż słów: dast